

365

ARCHEOLOGIA PAMIĘCI

G n i e z n o

2022

tekst i zdjęcia

K r z y s z t o f
S z y m o n i a k

365 ARCHEOLOGIA PAMIĘCI
Gniezno 2022

© **tekst i zdjęcia – Krzysztof Szymoniak**
© **Biblioteka Publiczna Miasta Gniezna**

Wszystkie fotografie Gniezna umieszczone w tej książce
zostały wykonane w latach 2008-2017

*Sądzę, że podstawą humanistyki jest opowieść.
Nie wystarczy coś zobaczyć, przeżyć lub nawet pojąć.
Trzeba jeszcze umieć to opowiedzieć.*

Maria Janion
Niesamowita Słowiańszczyzna,
WL, Kraków 2022, s. 9

*Fotografia trwale dotyka
rzeczywistości, a ślady naszego
patrzenia znikają w niepamięci.*

Sławomir Kuszczak
Segregator obecności. Codziennosc. Monochrom
Wydawnictwo UAP, Poznań 2019, s. 31

Październik

(1 października) 274



275 (2 października, niedziela)

Przyszedeł ksiądz po kolędzie... Kilka lat temu – a działo się to we Wrześni, po święcie Trzech Króli – do mieszkania Danuty Sz., mojej jedynej żony jaką w życiu miałem, przyszedł „po kolędzie” młody jeszcze ksiądz, na oko 40-letni, który po wstępnych rytuałach rozpoczął wizytę duszpasterską od drobnej i na pozór nieistotnej refleksji, z której wywiązała się jednak dosyć interesująca rozmowa:

- *Znałem kiedyś osobę o tym właśnie nazwisku. Na imię miała Paulina...*

- *Tak się składa, że mam córkę Paulinę. I ona jest w księdza wieku.*

- *Ale moje wspomnienia dotyczą Gniezna i ulicy Grzybowo.*

- *Do roku 1986 mieszkalam z mężem i córką na ulicy Grzybowo w Gnieźnie.*

- *Pod numerem 3, na poddaszu?*

- *A skąd ksiądz zna to miejsce i tę ulicę?*

- *Ja się tam i wtedy bawilem z Paulinką. Chodziliśmy do tej samej klasy w podstawówce na ulicy świętego Jana. Znałem to miejsce i mieszkające tam dzieci, bo to była także moja ulica. Byłem wtedy takim małym, ciemnowłosym chłopcem. Dwa razy Paulina zaprosiła mnie do swojego domu. Dzisiaj mieszka tam jeden z bliźniaków B., który ożenił się z córką fryzjera „Balbiny”. To jemu pani teść sprzedał ten dom w roku 1998. Pan „Balbina” pięknie to mieszkanie dla swojej córki przebudował i wyposażył, ale nadal jest niskie, bo dachu nie można podnieść.*

- *Zgadza się imię mojej córki, zgadza się ulica i mieszkanie na poddaszu... Przepraszam, ale trochę się wzruszyłam tą opowieścią księdza... Co za niezwykle przypadek. Po tylu latach jest ksiądz ze swoją historią dla mnie niczym posłaniec z przeszłości, która jak wszystko, co minęło, nie wróci. Dziwnie splatają się ścieżki ludzkich losów...*

Tę rozmowę przytoczyła mi Danuta 11 lipca tego roku po południu, w swoim wrzeńskim mieszkaniu, gdzie wspólnie, przy torcie od „Sowy”, świętowaliśmy ukończenie studiów prawniczych przez naszego starszego wnuka oraz szkoły podstawowej przez naszego młodszego wnuka. Świętowaliśmy też sukcesy i życiową zaradność naszej córki, z której jesteśmy bardzo dumni. Na marginesie – inny kolega Pauliny, ksiądz dr Przemysław Kwiatkowski, jest dzisiaj dyrektorem Wyższego Seminarium Prymasowskiego w Gnieźnie.

(3 października) 276



277 (4 października, wtorek)

Znanym pisarzem nigdy już nie będę, ale zawsze mogę pomóc innemu pisarzowi, który na to zasługuje, czyli moja przygoda z Ryszardem Schubertem. Druga dekada XXI wieku była dla mnie okresem, kiedy przewartościowywałem swoje widzenie świata. W jego poznawaniu i opisywaniu przechodziłem niespiesznie, bez napinania się ideologicznego i artystycznego, z poezji na prozę i eseistykę, a z reportażu prasowego na fotografię dokumentalną. Pod koniec tej dekady Janusz Ratajczak, jeden z moich dawnych znajomych, z którym na początku lat 80. pracowałem w gnieźnieńskim MOK-u, zadzwonił do mnie z Wrocławia i zapytał, czy wiem, gdzie w Poznaniu można znaleźć Ryszarda Schuberta, autora dwóch kultowych powieści z lat 70. – „Trenta Tre” i „Panny Lilianki”? Rzecz w tym, że Schubert po opublikowaniu tych powieści (niezwykle cenionych m.in. przez Henryka Berezę i Leszka Bugajskiego), będących rewelacyjnym eksperymentem językowym i narracyjnym, nigdy nie wszedł do snobistycznej gildii pisarskiej Poznania, zamilkł i – jak głosiła legenda miejska, czy niosła wieść gminna – zajął się handlem ziemniakami na jednym z poznańskich rynków (Wilda, Jeżyce, Łazarz?) dzierżawiąc od miasta stragan, który ponoć od 40 lat stoi do dzisiaj w tym samym miejscu. Ponieważ obie wspomniane tu powieści (proza eksperymentalna) Ryszarda Schuberta z lat 70. od zawsze (przeczytane dwukrotnie) miały swoje miejsce na jednej z półek mojej domowej biblioteki, postanowiłem odnaleźć w Poznaniu ich autora, żeby na własne oczy przekonać się, jaka jest prawda o jego dalszych losach i obecnej kondycji. Najpierw więc musiałem znaleźć w Poznaniu kogoś, kto wie (a działa się to wczesną wiosną 2021 r.), na którym poznańskim rynku trzyma swój stragan poszukiwany prozaik. Po krótkim śledztwie na przełomie kwietnia i maja trafiłem na Rynek Wildecki, gdzie R. Schuberta jeszcze nie było, ale z telefonu jego znajomego, przy sąsiednim straganie, udało mi się zdobyć połączenie z panem Ryszardem. W trakcie krótkiej rozmowy wyjaśniłem kim jestem i dlaczego poszukuję autora „Panny Lilianki”. Pan Ryszard, czyli ten poszukiwany przeze mnie pisarz, z jakiegoś powodu zaufał mi i zgodził się na spotkanie i rozmowę. Spotkanie odbyło się 6 maja, około godziny 14:30, a rozmowa – o której już wiedziałem, że poprowadzę ją z myślą o publikacji w ogólnokrajowym czasopiśmie – została nagrana w kabinie białego dostawczaka, obok straganu. C.d.n.

(5 października) **278**



279 (6 października, czwartek)

Znanym pisarzem nigdy już nie będę, ale zawsze mogę pomóc innemu pisarzowi, który na to zasługuje, czyli moja przygoda z Ryszardem Schubertem – zakończenie. W trakcie tej rozmowy okazało się, że Ryszard Schubert po 40 latach wrócił do pisania i jest autorem właśnie ukończonej powieści pt. „Świtezianka”. Ten zwykły (wydawać by się mogło) epizod, na poły dziennikarski, a na poły literaturoznawczy, zakończył się w ten sposób, że nasza rozmowa – zatytułowana „Od traumy do zachwyty, czyli słuch idealny” – ukazała się już po czterech miesiącach, we wrześniowym numerze miesięcznika „Twórczość”, wraz z obszernymi fragmentami „Świtezianki”. Bardzo pomocny w tej kwestii okazał się Leszek Bugajski, redaktor „Twórczości”. Konsekwencją tego zdarzenia był fakt, że Państwowy Instytut Wydawniczy, w osobie redaktora Pawła Orła, upomniał się o tę powieść, więc Ryszard Schubert (ciągle piszący na starej tradycyjnej maszynie) przesłał do PIW-u swój maszynopis liczący ponad 450 stron. Po pewnym czasie PIW zaproponował mi napisanie ze „Świtezianki” recenzji wewnętrznej, oczywiście na potrzeby planów wydawniczych. Popołniona przeze mnie obszerna (siedem stron znormalizowanego maszynopisu), analityczna recenzja sprawiła, że nie szukano już drugiego recenzenta, a dyrektor Wydawnictwa podjął decyzję o druku nowej powieści (także eksperymentalnej) w najbliższym możliwym terminie. Ponieważ Ryszard Schubert, starszy ode mnie o trzy lata, praktycznie nie korzysta z komputera i poczty elektronicznej, wziąłem na siebie zaszczytny obowiązek ułatwiania merytorycznych już kontaktów między Autorem i redaktorem Pawłem Orłem z PIW-u, który latem przyjechał do Poznania, aby poznać Pana Ryszarda i ustalić z nim (z moją skromną pomocą) dalsze działania rozpoczynające „proces produkcyjny” powieści. Kiedy te, na początek głównie techniczne, działania zostały zakończone, redaktor Paweł Orzeł napisał do mnie mail podsumowujący całość naszych wspólnych działań, kończąc go słowami: *Jeszcze raz dziękuję za Pana rolę dobrego ducha tej książki! A Ryszard Schubert? Przez półtora roku naszej znajomości dorobiłem się teczki z fragmentami jego powieści, z ręcznie pisanymi listami od niego, a przynajmniej raz w miesiącu spotykam się z nim i jego małżonką Marią w Poznaniu, na Wildzie, w kawiarni „Elite”, gdzie rozmawiamy o życiu, o dzieciach, wnukach, niełatwym losie straganiarza, ale także o literaturze, która nas połączyła.*

(7 października) **280**



281 (8 października, sobota)

Prezydentem miasta Gniezna być, czyli... Kocham, lubię, szanuję, nie chcę, nie dbam, żartuję. Oto prezydenci Gniezna po roku 1990: Bogdan Trepieński (1990-2002), Jaromir Dziel (2002-2006), Jacek Kowalski (2006-2014) i obecny na tym stanowisku od roku 2014 Tomasz Budasz. Co pamiętamy? Trepieński – trzy solidne kadencje, a wspólnie z ówczesnym prezydentem Ostrowa Wlkp. rekordzista w Wielkopolsce. Dziel – jedna kadencja i szybki koniec kariery. Kowalski – dwie kadencje. Jedni go kochali i szanowali, inni szczerze nie znosili, jedni widzieli w nim swojaka, z tych, co to z ludem potrafił rozmawiać ludzkim językiem, a inni postrzegali go jako postpezetpeerowskiego średniaka. Znam takich, którzy są mu wdzięczni za przydział mieszkania komunalnego oraz takich, którym dołożył jakieś publiczne pieniądze do książki poetyckiej, czy antologii wierszyków o Gnieźnie. Osobiście pamiętam go w czapce kucharskiej na głowie rozdającego w ramach przedwyborczego happeningu ciepłe pierogi. Pamiętam go na wózku inwalidzkim testującego z rozbawieniem chodnikowe krawężniki. Pamiętam go także z różnych wystąpień publicznych, których byłem świadkiem, gdy uświetniał swoją osobą i otwierał różne imprezy artystyczne, literackie czy kulturalne. Teraz zagadka. Który z byłych prezydentów Gniezna, otwierając dwie duże imprezy literackie, dwa razy z rzędu powiedział, cytuję z pamięci: *Ja też całe życie byłem blisko literatury. Moim ulubionym poetą był i nadal jest Jan Kasprówicz. I jak tu stoję, jestem pewien, że i on dostanie jeszcze Nagrodę Nobla.* Nikt wówczas na tę bzdurę nie zareagował, pewnie przez grzeczność, ale nie rozumiem, czemu nikt z otoczenia owego prezydenta-proroka nie powiedział mu, że Nagrodę Nobla przyznaje się tylko żyjącym pisarzom? Nawet zadałem pewnym ludziom to pytanie, ale rzecz pominięto milczeniem. Obecny prezydent Budasz? Jak zawsze i jak wszędzie – ma swoich zwolenników i swoich przeciwników, ma też zaciekłych wrogów politycznych, którzy próbują go kopać po kostkach i pryncypialnie dezawuować. Prywatnie, jako obywatel, wyborca, uczestnik życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego, jako użytkownik przestrzeni miejskiej, a głównie jako podatnik, gdy wspominam czasy rządów Kowalskiego oraz gdy oceniam rządy Budasza, to nie mam wątpliwości, że jasna strona mocy przechyla się na korzyść obecnego prezydenta Gniezna, którego osobiście, czyli prywatnie, nie znam i do którego po prośbie nigdy nie chodziłem.

(9 października) 282



283 (10 października, poniedziałek)

Gnieźnianina żywot codzienny, czyli zmiany, zmiany, zmiany. Latem tego roku wpadła mi w ręce książka w zasadzie już nieosiągalna („Gnieźnianina żywot codzienny”), której próżno szukać w antykwariatach całej Polski. *Jej fragmenty* – jak piszą we wstępie Erazm Scholtz i Marek Szczepaniak – *ukazywały się w latach 1966-2000 na łamach gnieźnieńskiego wydania „Głosu Wielkopolskiego” jako ciekawostki historyczne.* Są to dzieje miasta w XIX i w pierwszej połowie XX wieku uwolnione od wydarzeń politycznych. *W centrum naszych zainteresowań* – piszą dalej Autorzy – *znalazło się życie codzienne przeciętnego mieszkańca Gniezna, przypominamy więc miejsca, gdzie uczył się i pracował, robił codzienne zakupy, modlił się, jak spędzał czas wolny, gdzie się leczył i umierał.* Ramy czasowe tej pracy pokrywają się z okresem, kiedy Gniezno było trójnarodowościowe – polsko-niemiecko-żydowskie. Warto pamiętać, że wtedy przedstawiciele tych trzech nacji utrzymywali kontakty towarzyskie i handlowe. *Dopiero II wojna światowa położyła kres wzajemnej – jak piszą Autorzy – lepiej lub gorzej układającej się koegzystencji. W pierwszej kolejności hitlerowcy wymordowali mieszkańców pochodzenia żydowskiego. Plany wysiedlenia Polaków nie do końca zdołano zrealizować. Zakończenie wojny wymusiło natomiast niemal całkowity exodus ludności niemieckiej, Gniezno stało się miastem jednolitym narodowościowo, a rozdział wspólnych dziejów Polaków Niemców i Żydów ostatecznie został zamknięty.*

Książka ta, pomijając wszystkie inne jej zalety, pozwala zrozumieć, co to znaczyło i jak wyglądało życie w zaborze pruskim, co to znaczyło i jak wyglądało odzyskiwanie i umacnianie niepodległości, co oznaczała i jak w praktyce wyglądała gnieźnieńska wieloetniczność w obrębie języka, religii i kultury. Dlaczego o tym wspominam? Bo teraz, od kilkunastu lat, Gniezno znowu staje się miastem wieloetnicznym, w którym żyją, pracują, uczą się, modlą, płodzą dzieci, chorują i niekiedy umierają obok siebie Polacy, Białorusini, Ukraińcy, Azjaci oraz różnej narodowości obywatele Europy i świata. Na ulicach Gniezna znowu słychać różne języki, co dodaje miastu kolorytu i cywilizacyjnej europejskości. Dawniej o wielkich procesach historycznych, którym podlegało także nasze miasto, decydowały wielkie imperia, a potem okupanci – hitlerowski i sowiecki – teraz jest to kwestia wolności i realnej możliwości wyboru.

(11 października) **284**



285 (12 października, środa)

Od roku 2010 oglądam Gniezno już nie tylko przez okna autobusów komunikacji miejskiej. Zaczęło się od tego, że poznałem dwóch mistrzów fotografii analogowej i niemal wyłącznie czarno-białej – Bogusława Biegowskiego z Poznania i Lecha Szymanowskiego z Wągrowca, dzięki którym zacząłem myśleć o fotografowaniu Gniezna nie tylko z pozycji kolekcjonera uroczych, wściekle kolorowych landszafcików, ogólnie mieszczących się w konwencji widokówkowej, ale też w konwencji estetyki FIAP-owskiej (czyli, że ma być ładnie! FIAP – Międzynarodowa Federacja Sztuki Fotograficznej). W ten sposób – po dwóch latach prób i ćwiczeń fotograficznych z użyciem cyfrowego Nikona, po dwóch latach rozmów, lektur i oskrobywania wieloletniej praktyki ze złożeń banału i nudnych oczywistości oraz dziennikarskiej chwytliwości – wypracowałem własną, skromną, ale chyba niebanalną estetykę antywidokówki. Cała ta książka w swej części wizualnej składa się z takich właśnie fotografii. I tu od razu należy się pewne wyjaśnienie – antywidokówka nie jest nastawiona na obrazy nędznych podwórek, brudu, pijanych meneli, rozpadających się płotów i gnijących śmietników. Moja antywidokówka interesuje się tym samym światem, jaki znajdujemy na tradycyjnych, kolorowych widokówkach, ale pokazuje go w odcieniach szarości, często w ściśle określonych warunkach światła rozproszonego (z małymi wyjątkami) oraz głównie wiosną, jesienią lub zimą, gdy nie ma na drzewach i krzewach liści, które sporo zasłaniają. Owe wspomniane przed chwilą małe wyjątki stosuję wówczas, gdy np. klasyczny kadr widokówkowy zostaje albo inaczej/interesująco oświetlony ostrymi promieniami niskiego słońca (patrz: dzień 296), albo gdy w kadrze znajdują się interesujące poprzez kontekst drzewa sfotografowane w środku lata (patrz: dzień 154 i 162). Jednym słowem moje widzenie nie szuka brzydoty i – mówiąc kolokwialnie – nie epatuje przysłowiowym „syfem”, nie jest więc obrazem turpistycznym. Jej specyficzna uroda polega, jak sądzę, głównie na tym, że pokazuje taki świat, jaki faktycznie istnieje/istniał, zazwyczaj zakryty przed okiem turysty, ale w taki sposób, na tyle nieatrakcyjnie, że żadne miasto nie zaryzykowałoby sklecić z moich kadrów albumu promocyjnego, mającego być radosną wizytówką grodu. Ponieważ fotografowane przeze mnie miejsca i obiekty znikają lub się zmieniają, antywidokówka rejestruje więc ślad przemijania. Staje się dokumentem i pamięcią.

(13 października) 286



287 (14 października, piątek)

Świat się zmienił, Polska się zmieniła, Gniezno się zmieniło... Niewątpliwym pozytykiem wynikającym z długiego życia w nie najgorszym zdrowiu i przy średniej jakości urodzie (nawet, jeśli nie wygrało się dużej kumulacji w LOTTO ☹, nie zostało się wybitnym mitomanem Europy Środkowej ☺ i nie weszło się o własnych siłach zimą na Mount Everest ❄) jest możliwość kontemplowania procesów sedymentacji (kulturowej, politycznej, gospodarczej, społecznej) w obrębie świata jako całości oraz na poziomie swojej małej ojczyzny. Drugi z tych powodów, gdy idzie o zadowolenie z faktu długiego życia, to możliwość aktywnego uczestniczenia w zachodzących nieustannie/dynamicznie zmianach (w czasie rzeczywistym i w realnej przestrzeni), które obejmują całą naszą dookolność – tę prywatną, osobistą, ale i tę wspólnotową, publiczną. Ja sam, im jestem starszy i coraz mniej pasujący do obowiązujących w mediach społecznościowych (zresztą płynnie się zmieniających) standardów urody, intelektu, lansu i wysokiej samooceny, z tym większą fascynacją spoglądam na moją gnieźnieńską przeszłość. Podzieliłem ją na dziesięciolecia, bo tak układały się w moim przypadku słupy milowe, czy może raczej główne tyczki slalomu jakim jest życie zawodowe, prywatne, duchowe, artystyczne wreszcie – a zatem lata 70., lata 80., lata 90., pierwsza, a potem druga dekada XXI wieku. W tzw. Chrzcielnicy Polski mieszkam już 53 lata, a zaczęła się owa całożyciowa przygoda w połowie czerwca 1969 roku, kiedy to oficjalnie z rodziną sprowadziłem się z Kępna, z ulicy Paderewskiego 8, na ulicę Grzywo 3 w Gnieźnie. W tym samym czasie w Wiesbaden, 14 czerwca 1969 r. zmarł Marek Hłasko. Czy mogłem wtedy o tym wiedzieć? Niemal na pewno o autorze „Pięknych dwudziestoletnich” nie miałem zielonego pojęcia. Uczestniczyłem jednak przez te ponad pół wieku w wielu odsłonach świata, Polski i Gniezna – albo dzięki telewizji, albo dzięki lekturze gazet i tygodników, albo przykładając osobiście rękę lub pióro do niektórych rewolucji i przemian, będąc też niekiedy ich bezradnym obserwatorem. Świat jest daleko, Polska jest duża i piękna, ale to Gniezno, gdzie stało się wszystko, co w moim życiu najważniejsze, okazało się tym fragmentem globu i ojczyzny, dzięki któremu znam swoje miejsce w szeregu, znam swoje mocne i słabe strony, rozpoznaję i rozumiem zmieniające się oblicza Gniezna, bo albo byłem ich częścią, albo patrzą one na mnie ze zdjęć Janusza Chlasty.

(15 października) 288



289 (16 października, niedziela)

Dlatego warto oglądać zdjęcia Janusza Chlasty. Mowa tu o wielkim (obejmującym, po zeskanowaniu negatywów, ponad 70 tysięcy plików cyfrowych) archiwum fotograficznym, przechowywanym przez autora w przysłowiowym i chyba także konkretnym garażu. Z tego garażu, za zgodą rodziny pana Janusza, cały ten materiał trafił w 2020 r. do Władysława Nielipińskiego, który wszystko to zeskanował, opracował (także identyfikując ludzi, miejsca i zdarzenia z tych kadrów/klatek) oraz przygotował na okoliczność mających się odbyć kilku wystaw, z główną wystawą i katalogiem w Gnieźnie, planowaną na rok 2023. Trwają też prace nad albumem, w którym do tej pory znalazło się około 400 najlepszych/najciekawszych fotografii słynnego fotoreportera „Przemian”. W tym miejscu warto przypomnieć, że Janusz Chlasta związany był z „Przemianami Ziemi Gnieźnieńskiej” (najpierw z miesięcznikiem, a potem już tygodnikiem) od początku, czyli od roku 1966, a współpracę z „Przemianami na Szlaku Piastowskim” zakończył wraz ze swoją śmiercią w roku 2013. Z tego też okresu pochodzą wszystkie analogowe zdjęcia reporterskie, prasowe oraz dokumentalne, ale i na poły artystyczne portrety, migawki sytuacyjne w stylu Cartiera-Bressona (który fotografował dalmierzowym aparatem firmy Leica, używając głównie standardowego obiektywu o ogniskowej 50 mm), czy pejzaże miejskie i widoki rustykalne, których oryginały/negatywy zostały już, w trosce o ich bezcenną wartość historyczną i fizyczne bezpieczeństwo, przekazane do gnieźnieńskiego oddziału Archiwum Państwowego. Ponieważ okres aktywności fotograficznej Janusza Chlasty na terenie Gniezna (oraz kilku sąsiednich miast) pokrywał się w całości z moim tutaj pobytem i trwaniem, z moją tutaj aktywnością prywatną, zawodową i publiczną, to dzisiaj dzięki jego zdjęciom mogę nie tylko przypomnieć sobie, jak wyglądało Gniezno (jego ulice, place, domy, fabryki, parki, jeziora i wielkie inwestycje) w latach 60., 70. i 90., jak gnieźnianie się wtedy ubierali, czym się fascynowali, gdzie pracowali i gdzie robili zakupy, w jakich uroczystościach brali udział i jak spędzali czas wolny, ale także mogę dzięki tym kadrom przyjrzeć się po prostu własnej przeszłości i wnikać ponownie za kurtynę świata, którego już nie ma. A dzieje się tak, ponieważ obraz fotograficzny tamtych lat, stworzony przez Janusza Chlastę, jest przede wszystkim panoramą i kalejdoskopem, jest wspólnym – mieszkańców Gniezna – portretem zbiorowym.

(17 października) **290**



291 (18 października, wtorek)

Można powiedzieć, że kończę tak, jak zaczynałem... W czym rzecz? Ano w tym, że gdy z początkiem września 1969 roku rozpocząłem naukę w II LO (klasa Id z językiem ros. i niem.) w moim zasięgu znajdowała niewielka domowa biblioteczka, jakieś trzy półki w przeszklonej gomułkowskiej meblościance, na którą składały się także szkolne zeszyty, lektury i podręczniki. Trzy i pół roku później, wczesną wiosną, przed maturą, moje własne książki zajmowały już dwa regały w tejże meblościance na wysoki połysk. Z rozbawieniem wspominam z tamtego okresu rozmowy z rodzicami (którzy mieli na głowie nie tylko mnie, ale i moje młodsze rodzeństwo), gdy próbowałem ich prosić o jakieś wsparcie finansowe na zakup kolejnej książki, absolutnie w moim odczuciu niezbędnej. Ojciec stawał wtedy przed moją biblioteczką i liczył. Po kilku minutach stwierdzał: „Masz prawie dwieście książek. Po co ci dwieście pierwsza, dwieście druga i dwieście trzecia?”. Dla jasności należy podkreślić fakt, że większość stojących na regałach książek kupiłem za własne pieniądze, a zarabiałem je pracując w czasie letnich wakacji, zimowych ferii i biorąc różne fizyczne roboty z soboty na niedzielę. Po maturze, a przed pójściem na dwa lata do wojska, zatrudniłem się na kilka miesięcy w powiatowym zarządzie dróg jako członek brygady naprawiającej, budującej i smołującej lokalne drogi wiejskie. Zarabiałem tam dobrze, forsy nie przeznaczając na wino typu jabol (jak czynili to moi koledzy z brygady), więc zacząłem wtedy kupować w księgarni KMPiK, przy ul Chrobrego, kolejne książki oraz pierwsze płyty długogrające (longplaye). Moja kolekcja winyli wzięła początek od jakiejś składanki Louisa Armstronga, „Amerykanina w Paryżu i „Błękitnej Rapsodii” Gershwina oraz muzycznego zauroczenia – płyty „Blues Breakout” z 1971 roku, ze słynną okładką, na której Tadeusz Nalepa niesie gitarę i prowadzi syna. W taki oto sposób utrwaliła się moja zażyłość z książkami i narodziła się przyjaźń z muzyką. Obie w dobrej formie przetrwały do dzisiaj. W okresie licealnym książki, na które nie było mnie stać, czyli np. cały kanon popularno-naukowych publikacji poświęconych historii sztuki i grecko-rzymskiej starożytności, wypożyczałem w Bibliotece Publicznej przy ul. Mieszka I. Pod koniec mojego pobytu w domu przy ul. Grzybowo 3, a więc w roku 1999, miałem na półkach i regałach ok. 1500 książek oraz ponad 350 długogrających winyli. C.d.n.

(19 października) **292**



293 (20 października, czwartek)

Można powiedzieć, że kończę tak, jak zaczynałem... zakończenie. I teraz, wracając do frazy otwierającej, stwierdzam iż – w związku z liczbą lat życia, które mam za sobą – nic wielkiego, nowego i ważnego już się w mojej biografii nie pojawi. Nie liczę na nowe olśnienia, wyprawy i długoterminowe przedsięwzięcia. Do tej pory ciągle jakoś się rozwijałem, otwierałem nowe furtki i zagadkowe szuflady, ale oto przyszła pora, że trzeba będzie zacząć się powoli zwijać, bo przede mną już tylko największy portal społecznościowy (do którego kiedyś wszyscy się zapiszą), mający jedną zasadniczą zaletę – panuje tam cisza i spokój. Można więc powiedzieć, że kończę tak, jak zaczynałem, czyli wśród książek. Już jako dziecko i nastolatek zawsze kochałem rower, ruch, pracę fizyczną, wysiłek sportowy, fascynowały mnie tajemnicze zakątki świata, ale i małe wyprawy w nieznanne. Pierwszymi towarzyszami moich zabaw dziecięcych były w Kępnie domowe zwierzęta – króliki, gołębie, pies, kot, kury znoszące jajka i koza dająca mleko. Pamiętam z tamtych czasów klasyczne zabawki i chlapiące zajęcia – klocki, układanki, malowanki, konia na biegunach, gry planszowe, piłkę kopaną, łażenie po drzewach, szukanie owoców w dziczyńskich sadach i ogrodach. Od momentu jednak, gdy wsiąknąłem w książki, zadrukowany papier stał się moim najlepszym przyjacielem. I dlatego właśnie nie zamierzam w kontaktach z dzisiejszą, utalentowaną na wiele sposobów młodzieżą nudzić opowieściami w rodzaju: „Ja w waszym wieku...”. Powód jest prosty: nie nadaję się do roli Wujka Dobra Rada, a poza tym... ja w jej (tej młodzieży) wieku byłem amatorem, nie znałem języków obcych i marnie rokowałem. Jedyne co mogę, to życzyć owej młodzieży długiego i udanego lotu oraz spełnienia marzeń. Skoro więc kończę jak zaczynałem, muszę tylko dodać, że wszystko, co w życiu osiągnąłem zawdzięczam nabytej szybko pokorze wobec lepszych od siebie, kontaktom z mądrzejszymi od siebie, odrobinie talentu, ciężkiej pracy, samokształceniu i paru ludziom (w tym oczywiście rodzicom, którzy do końca wierzyli, że wyjdę na swoje), którzy kilka razy mi pomogli, kilka razy otwarli przede mną odpowiednie drzwi lub wskazali mi właściwą drogę. Startowałem do życia z dalekiej pozycji, zaliczyłem falstart i dwa poważne karne okrażenia, ale nigdy nie zszedłem z bieżni, nie poddałem się przeciwnym wiatrom, nie uwierzyłem w ocalającą ponoć od zapomnienia legendę upadku. A teraz widzę coraz wyraźniej linię mety.

(21 października) **294**



295 (22 października, sobota)

Z Gniezna do Cieszyna i na Hel. Zanim przeszedłem na emeryturę, w październiku zazwyczaj nie wyjeżdżałem z Gniezna ani w góry, ani nad morze, ani na Podlasie, bo w październiku przez minione dwadzieścia lat rozpoczął się dla mnie w Poznaniu, na tamtejszym UAM, kolejny, nowy rok akademicki ze studentami, a właściwie głównie studentkami, bo Wydział Neofilologii, a więc i mój rodzimy Instytut Językoznawstwa, gdzie pracowałem na etacie wykładowcy, coraz bardziej się feminizował. Od października zajmowały więc moją uwagę syllabusy, dyżury w pokoju 214, gdzie stało moje służbowe biurko, konferencje naukowe, teksty do specjalistycznych czasopism, a przede wszystkim zajęcia, w skład których wchodziły moje cztery autorskie przedmioty fakultatywne (wiedza o mediach, wiedza o fotografii, twórcze pisanie i warsztaty dziennikarskie) oraz praktyczna nauka języka polskiego, jako obcego, głównie dla Azjatów pracujących i studiujących w naszym Instytucie. Owszem, lubiłem te październikowe początki roku akademickiego, gdyż był to czas poznawania nowych osób, a także czas ponownego spotkania z tymi, których już znałem z poprzedniego roku, a którzy teraz pojawiali się na kolejnym moim przedmiocie. Mijało jednak dziewięć miesięcy, zaczynały się dla mnie letnie wakacje (lipiec, sierpień, wrzesień) i wtedy niemal od razu ruszałem do Bielska Podlaskiego i Białowieży, na Hel i do Trójmiasta, do Słubic i Frankfurtu nad Odrą, do Bielska-Białej, Ustroń i Wisły, ale przede wszystkim do Cieszyna, Czeskiego Cieszyna i na Zaolzie. I zawsze wtedy, im bardziej oddalałem się od miasta w centrum Wielkopolski, im bardziej oddalałem się od Wielkopolski z jej mitami o plemiennych początkach późniejszego państwa i historią pełną dziur, których nie objaśniają żadne kroniki, im bardziej oddalałem się z tego miejsca ku plażom i wydmom Bałtyku, albo ku szczytom Beskidu Śląskiego, ku Bramie Morawskiej, tym bardziej umacniało się we mnie pytanie: „Czego tam szukam?”. A więc Hel! A więc Cieszyn! W moim odczuciu ta morska i lądowa brama do Europy Środkowej i Północnej, na tyle odległa, od Kępna, a zwłaszcza od Gniezna i Poznania, że niemal egzotyczna. Po kilku latach osvajania i poznawania tych miejsc jeżdżę tam nie jak turysta, ale niemal jak nastoletni odkrywca, który w czasach własnej młodości poznawał wyspy i kontynenty drogą rozlicznych lektur, idąc tropem baśni, legend, mitów, zagadek archeologicznych i zawsze tajemniczej historii. C.d.n.

(23 października) 296



297 (24 października, poniedziałek)

Z Gniezna do Cieszyna i na Hel... zakończenie. Na początek weźmy taki oto drobiazg, niedostępny mi na równinach Wielkopolski: w Cieszynie mogę przejść (choć za komuny tak nie było) przez jeden z czterech mostów na drugą stronę Olzy, czyli do innego kraju, do innego języka, do innych, ale bliskich mi, ludzi, do innej kuchni, wreszcie do innych świąt, zwyczajów i punktów widzenia. Dokładnie tak samo mają się sprawy w Gdyni, skąd mogę promem popłynąć nie tylko na niezwyklej urody Hel, ale także do Szwecji lub Danii, by tam bezproblemowo zasmakować innego świata, to znaczy świata, w którym ludzie mówią innymi językami i trochę inaczej funkcjonują. W Gnieźnie, przy wszystkich (głównie historycznych) atrakcjach tego miasta, mogę tylko przejść z jednego kościoła do drugiego, z jednej strony na drugą stronę tej samej głównej ulicy. Po obu jej stronach prawie wszystko jest prawie takie samo, albo bardzo podobne, no, może z wyjątkiem poglądów na temat bieżącej polityki i spraw z nią związanych, z jakimi zmagają się w tym mieście dzień po dniu moi współobywatele. Na głównej osi miasta (ulice Pocztowa, Chrobrego i Tumaska), na dosyć niepozornym, a nawet pozbawionym jakichkolwiek atrakcji turystycznych początku tej głównej gnieźnieńskiej trasy spacerowej, znajdują się składowiska złomu, na poły zrujnowane magazyny, hurtownie, jakieś budynki o nieznanym dzisiaj przeznaczeniu oraz bocznicie kolejowe i tory szlaku PKP, tory prowadzące z Poznania przez Bydgoszcz do Gdyni. Na drugim, historycznym jej końcu, obfitującym nie tylko w zażytki architektury, najpierw rozpościera się Rynek (z fontanną zamiast ratusza), a dalej jest już tylko monumentalna, opromieniona skarbami kultury polskiej Katedra, czyli Bazylika Prymasowska i Sanktuarium świętego Wojciecha. To właśnie tam, w Katedrze, ale i w różnych obiektach posadowionych wokół niej, bije serce początków naszej państwowości, zwanej dzisiaj Szlakiem Piastowskim. Chyba już pora na wnioski... Polska to duży i piękny kraj, dlatego Polacy mieszkający przy granicy z Czechami i Słowacją jeżdżą nad polskie morze, po inne krajo-brazy i przesycone jodem powietrze. Polacy mieszkający w okolicach polskiego wybrzeża jeżdżą na południe, aby wciągnąć w płuca górskie powietrze, aby napić się czeskiego lub słowackiego piwa i na chwilę zmienić otoczenie. Jedni i drudzy często jeżdżą przez Gniezno, zatrzymują się tutaj, a nawet nocują, by dotknąć tysiącletniej historii, by dotrzeć do źródeł i korzeni.

(25 października) **298**



299 (26 października, środa)

Zaczynaliśmy w tym samym czasie. Kiedy w roku 1978 debiutowałem na II Piastowskim Lecie Poezji jako współzałożyciel GGP DRZEWO i autor wierszy, czyli gdy zaczynałem swą (trwającą przez wszystkie lata dorosłości) fascynującą przygodę z literaturą, dziennikarstwem, kulturą i fotografią, kiedy gnieźnieński Chłopięcy Chór SZPAKI świętował swoje ogólnopolskie i zagraniczne sukcesy koncertowe – równolegle, w tym samym mniej więcej czasie, dwa, trzy lata wcześniej lub dwa, trzy lata później, rozpoczynali swoje własne życiowe przygody i kariery zawodowe moi rówieśnicy, czasem o rok, dwa, trzy lata starsi lub młodszy ode mnie. Postanowiłem kilkoro z nich przypomnieć choćby dlatego, że po pierwsze – nie żyłem wówczas na bezludnej wyspie, miałem więc szansę i okazję kolegować się nimi lub z nimi współpracować, a po drugie – wszyscy oni także wzbogacali wówczas Gniezno swoją aktywnością, swoim talentem, swoimi działaniami, które nosiły już wtedy znamiona kompetencji, profesjonalizmu i sprawności wysokiej próby, po mistrzostwo w swej profesji włącznie.

Teresa Łubińska-Kalinowska – artystka zajmująca się tkaniną artystyczną i dekoracyjną. Ukończyła z wyróżnieniem Szkołę Plastyczną PLSP w Poznaniu. Od 1975 zajmowała się tkaniną artystyczną w pracowni Urszuli Plewki-Schmidt, z którą współpracowała do 1981. W tym okresie jej prace brały udział w wystawach zbiorowych, które prezentowano w Polsce i we Francji. Od 1981 r. posiadała w Gnieźnie własną pracownię Tkaniny Artystycznej. Prowadziła też zajęcia z adeptami tej sztuki w gnieźnieńskim MOK-u oraz w poznańskim CK Zamek.

Grażyna Koczorowska – dziennikarka, sekretarz redakcji, kierownik oddziału, redaktor naczelna w: „Głos Załogi”, „Przemiany Ziemi Gnieźnieńskiej”, „Głos Wielkopolski”, „Przemiany na Szlaku Piastowskim”.

Jerzy Sieczkowski – fotograf dokumentalista (Muzeum PPP), fotograf-instruktor (MOK), fotograf artysta. Autor zdjęć, na podstawie których powstawały w MOK-u scenografie (rękami Teresy Młodzieniak) do premier mojego teatru młodzieżowego „Na Prostej”.

Zbigniew Łuczak – muzyk, artysta estradowy, świetny kabareciarz (oczywiście wspólnie z Wiesławem Soją), autor tekstów i muzyki, współzałożyciel Jazz Clubu „Amok” i zespołu „Pro-wizorka Jazz Band”, a potem także radiowiec i dziennikarz. C.d.n.

(27 października) **300**



301 (28 października, piątek)

Zaczynaliśmy w tym samym czasie... zakończenie.

Krzysztof Kuczkowski – poeta, krytyk literacki, eseista, założyciel i redaktor naczelny dwumiesięcznika literackiego „TOPOS” oraz serii wydawniczej Biblioteka Toposu. Absolwent polonistycznej polonistyki, założyciel Gnieźnieńskiej Grupy Poetyckiej DRZEWO, inicjator i współorganizator Piastowskiego Lata Poezji. W swoim dorobku posiada książki poetyckie: „Prognoza pogody”, „Pornografia”, „Ciało, cień”, „Trawa na dachu”, „Widok z dachu”, „Stado”, „Anioł i góra”, „Niebo w grudniu”, „Wieża widokowa”, „Tlen”, „Pieśń miłości, pieśń doświadczenia”, „Dajemy się jak dzieci prowadzić nicości”, „Wiersze masowe i inne”, „Kładka. Wiersze duchowe”, „Ruchome święta”, „Sonny Liston nie znał liter”.

Bogdan Bentyn – aktor, zagrał w filmach Feliksa Falka: „Zdjęcia próbne”, „Aktorzy prowincjonalni”, „Szansa”. Ostatnio gnieźnieński slamer, aktywista miejski, a także performer – który na oczach internetowej publiczności przybił solidnym gwoździem swoją lewą dłoń do pnia wielkiego drzewa nad jeziorem Jelonek (Weneja).

Andrzej Malicki – aktor w Teatrze im. Al. Fredry. Już kilkanaście lat temu napisano o nim: *Trzydzieści lat w zespole. Ale gra mu nie wystarcza: reżyseruje, udziela się w amatorskim życiu teatralnym. Łatwiej byłoby wymienić sztuki, w których nie grał na przestrzeni 30 lat, niżli role, które zagrał. W wolnych chwilach pisze scenariusze, teksty kabaretowe, szopki i wiersze.*

Kazimierz Tinkers Kubów – DJ (didżej) z ministerialnymi papierami, nagłośnieniowiec w MOK-u, współzałożyciel w Paryżu klubu dla Polaków „Nasza Wiosna”, wielbiciel i popularyzator twórczości Jacka Kaczmarskiego, filmowiec-dokumentalista, pracownik etatowy w centrum kultury EsTeDe, animator i szef sztabu „Wielkiej Orkiestry świątecznej Pomocy”, pasjonat samochodów Citroen 2CV, organizator od 14 lat „Święta Przyjaciół” poświęconego zmarłym w minionym roku kolegom i koleżankom.

Władysław Nielipiński – fotograf, animator w amatorskim ruchu fotograficznym, wojewódzki instruktor ds. fotografii w WBPiCAK, autor i redaktor kilkunastu publikacji poświęconych sprawom fotografii, w tym monografii „Fotografia gnieźnieńska w II połowie XX wieku”.

(29 października) **302**



303 (30 października, niedziela)

Moje książki nie drukowały się w garażu. Moja najnowsza książka, ostatnia z tych, które już zmaterializowały się na zadrukowanym papierze, czyli „Zapiski cieszyńskie”, ukazała się na początku września 2021 roku z ISBN-em Wydawnictwa PP-etibon, ale usługę drukarską i graficzny kształt okładki zapewniło mi gnieźnieńskie Wydawnictwo Gaudentinum. Zanim pojawiło się to moje wydawnictwo, wprawdzie przez wiele lat ISBN i druk (+ okładkę) zapewniało mi Gaudentinum, pod którego egidą ukazały się: „Pokój bez okien” (2009), „Poemat Amerykański” (2011), „Fotografioly” (2012), „Fotografioly 2” (2013), „Fotografioly 3” (2015), „Bez przysłony” (2016), „Rodzina Jarząbków” (2016), „Osmoza” (2017), „Epizody” (2018) i „Wyjazd” (2019). Dla pozostałych czterech – „Strach przed poezją” (2019), „Melanż” (2019), „Melanż 2” (2020) oraz wspomniane już „Zapiski cieszyńskie” – Wydawnictwo Gaudentinum było miejscem druku i powstania okładek. A teraz to, co najważniejsze – wszystkie okładki moich książek (dla których dostarczałem własny materiał fotograficzny i ogólną koncepcję) zaprojektowała i profesjonalnie wykonała niezastąpiona Ewa Polaszewska (na wizytówce – grafik komputerowy), natomiast dobrym duchem i bezbłędnym opiekunem merytorycznym moich publikacji przez te wszystkie lata była Marzena Krzyżanowska (na wizytówce – sekretarz wydawnictwa). Dzięki pani Ewie moje książki otrzymywały niebanalne okładki, wysoko oceniane przez czytelników, ale i zauważane przez fachowców z branży grafiki komputerowej. Dzięki pani Marzenie unikałem wielu błędów (np. korektorskich) i usterek technicznych. Za całą przez te wszystkie lata okazywaną mi dobrą i życzliwą, za fachowe wsparcie, obu Paniom kłaniam się czapką do ziemi, a zwyczajnie, po ludzku, przekazuję też nieustający Szacun! Na marginesie tych uwag warto przypomnieć, że Wydawnictwo GAUDENTINUM w obecnym kształcie organizacyjnym zostało powołane w 2015 roku. Na rynku poligraficznym i księgarskim istnieje jednak od 1989 roku. To wtedy właśnie, w 1989 r., a i chwilę później, miałem przyjemność uczestniczyć w pierwszych pracach wydawniczych, którymi wówczas kierował dzisiejszy proboszcz mojej parafii – ksiądz kan. Andrzej Grzelak. Zaczynając na przełomie lat 80. i 90. tę współpracę z Gaudentinum jako korektor nie mogłem wiedzieć, że za lat kilkanaście znajdę tam swój Dom Wydawniczy i niezawodnie sprawną drukarnię. A jednak stało się! ☺ ☺

(31 października) **304**

